

D.

Co Słychać

DWUTYGODNIK STRESZCZEŃ

.. The.. Polish Fortnightly Digest



Nr.14

18·VIII·1944

6d

1. LONDYN PRZYSZŁOŚCI.	str. 366
2. OD REDAKCJI.	366
3. WIELKI DOBROCZYŃCA LUDZKOŚCI.	367
4. OPIEKA NAD RANNYM ŻOŁNIERZEM.	375
5. LISTY DO REDAKCJI.	378
6. SAMOTNA CHWAŁA KOMPANII PRZECIWPANCERNYCH. ...	379
7. MIKA - CUDOWNY MINERAŁ.	381
8. TYP AMERYKAŃSKIEGO SZOPERA.	385
9. KASTA JUNKRÓW A HITLER.	387
10. BIUROKRACJA W AMERYCE.	389

OKŁADKA: Londyn w przyszłości: aleja prowadząca do katedry St. Paul, według ostatnich projektów architektów angielskich.

LONDYN PRZYSZŁOŚCI.

Na początku b. r. była otwarta w Londynie wystawa rysunków i planów przyszłego Londynu. Te plany, to były tylko szkice według projektów najzdolniejszych brytyjskich architektów. Sądząc jednak z nich, można przypuszczać, że Londyn w kilkanaście lat po wojnie będzie jednym z najpiękniejszych, nowoczesnie zbudowanych miast na świecie.

I Londyn posiada wszelkie dane ku temu, ażeby się stał takim miastem. W chwili obecnej Niemcy pomagają w wymiataniu starych ruder i tandetnie wybudowanych nowszych domów. City londyńskie zaś posiada dość pieniędzy dla wprowadzenia projektów w życie.

Tak więc kto przyjedzie do Anglii za lat kilkanaście, Londynu nie pozna.

OD REDAKCJI.

Prosimy usilnie o przyspieszenie wpłaty za bieżące półrocze /S. 5/-/. Pomimo wielokrotnych apelów, nie otrzymaliśmy dotąd od wielu pp. Czytelników zaległych wpłat za rok ubiegły i za I półrocze r. b. Jesteśmy zmuszeni przerwać wysyłkę egzemplarzy dla Czytelników zalegających. Świetlice, kioski i księgarnie musimy uprzedzić, iż nie będziemy przyjmować zwrotów, przesyłanych nam po miesiącu.

CENA NUMERU 6d. PRENUMERATA PÓŁROCZNA 6/-
REDAKCJA I ADMINISTRACJA
40, BRUNTSFIELD PLACE, EDINBURGH. 10.
Tel. 52396.

3. Wielki dobroczyńca ludzkości.

M. P.

Jest to nieśmiertelna historia walki uczonego z mikro-
bami. Początek zwycięstwa ludzkości nad śmiercią,
powodowaną przez miliony niewidzialnych zarazków.

Artykuł poniższy może być czytany wiele razy, a
zawsze pochłonie czytającego, otwierając mu przed
oczami nowe światy i wykazując potęgę, drzemającą w
przyrodzie. Jakże wtedy małymi wydają się kłopoty
własne? A jak wielkim bohaterstwo i samozaparcie się
pionierów nauki, w rodzaju Pasteur'a...

Artykuł skondensowano z książki p. t. "Łowcy Mikro-
bów", napisanej przez Paul de Kruif'a.

Jednym z najgroźniejszych wrogów ludzkości były
od wieków mikroby. Niewidoczne, do niedawna nikomu
nieznane, powodowały one śmierć wielu milionów ludzi.
Nagle zaledwie sto lat temu, coś się odmieniło. Mi-
kroby zaczęły tracić swą straszliwą siłę i przecięt-
ną długość ludzkiego życia podwoiła się na przestrze-
ni ostatnich trzech pokoleń.

Było to wielkie zwycięstwo i wszyscy musimy uznać
je za takie. Mało kto jednak pamięta z jakim trudem
zostało ono wywalczone. Niewielu pamięta nazwisko
Ludwika Pasteura, który podjął się tej walki, śmiało
przeciwstawiając się szyderstwom i kpinom sceptyczne-
go świata.

Ten drobny, o zadartym nosie, nawpół sparaliżowa-
ny Francuz nie był czarodziejem. Jeżeli było w nim
coś cudownego, to chyba tylko niesłychana dyspropor-
cja pomiędzy jego słabą, ułomną postacią a potężną
osobowością duchową. Nie był on tylko jednym z wie-
lu łowców mikro-
bów. Był nieustraszoną żołnierzem,
zjadale walczącym z cierpieniami ludzkiego ciała i
ze śmiercią.

Ludwik Pasteur był synem garbarza i prawnikiem
peńszczyźnianego chłopca. Przez pierwszych dwadzieścia
lat swego życia był dość pospolitym, pracowitym i
starannym chłopcem, lecz nic nie zdradzało w nim przy-
szłego wielkiego badacza. Jednym z jego ulubionych
zajęć w chwilach wolnych od nauki było malowanie
rzeki, przepływającej koło ojcowskiej garbarni w
Arbois, we wschodniej Francji. W 1842 roku, mając

lat dwadzieścia, ukończył Królewskie Kolegium w Besançon, w którym postępy jego w chemii oceniane były jako przeciętne.

Prawdziwe swe powołanie Pasteur odkrył w sobie dopiero w rok później, słuchając na Sorbonie wykładów profesora chemii J. B. Dumasa. Jeden z wykładów tego wielkiego uczonego wywarł na nim tak głębokie wrażenie, że wyszedł ze łzami zachwytu w oczach. "Jak wspaniałą nauką jest chemia", szeptał sam do siebie w upojeniu. Stało się dla niego wówczas jasne, że on sam będzie również wielkim chemikiem. Szare zamglone ulice Paryża przekształciły się w jego wyobraźni w lekkomyślny, skazany na zagładę świat, który jedynie chemia może jeszcze ocalić. Pasteur zarzucił malarstwo, pozostało w nim jednak wiele z artysty, kiedy samodzielnie i prawie poomacku zaczynał swe doświadczenia z cuchnącymi butlami i szeregami próbek, napełnionych płynami o wszystkich barwach tęczy.

Był on niesłychanie wrażliwym na ludzki ból i cierpienia. Jako 19-letni chłopiec znalazł się przypadkowo w tłumie ludzi cisnących się pod drzwiami kuźni w Arbois, w której leżał farmer, pokąsany przez wściekłego wilka. Wypalano mu właśnie rany rozpalonym żelazem. Ten okrutny zabieg nie uratował życia farmerowi, zato przysporzył mu przed śmiercią nie-ludzkich cierpień. Był on jednak dla Pasteura impulsem do rozpoczęcia badań nad istotą i sposobami leczenia wścieklizny, badań uwieńczonych w rezultacie wiekopomnym odkryciem surowicy, uleczającej tę bodajże najstraszniejszą z chorób.

Umiłowanie sprawy, której się poświęcił, obroniło Pasteura przed drwinami, jakimi świat lekarski przyjął jego twierdzenie, że najstraszniejszą groźbą dla ludzkości są mikroby. W połowie XIX wieku, t. j. w okresie kiedy Pasteur stawiał pierwsze kroki na drodze badań naukowych, mikroby były tylko mikroskopijnymi żywymi zabawkami, uroznicającymi czas biologom amatorom. Wprowił on w zdumienie świat naukowy, udowodniwszy mu, że przyczyną fermentacji wina są mikroby. A już zupełnym wstrząsem było dla lekarzy zdanie, że te nic nieznaczące istoty spowodowały śmierć większej ilości ludzi, niż wszystkie wojny razem wzięte.

Pasteur utrzymywał, że mikroby żyją w powietrzu, skąd przedostają się do organizmów, tak żywych, jak i martwych. Była to teoria, otwierająca przed nauką nowe, jaśniejsze horyzonty. Profesorowie orzekli jednak, że mikroby mogą się rozmnażać bez pożywki i że plany Pasteura, zmierzające do niedopuszczenia ich do organizmu ludzkiego czy też do mleka, są absolutną fantazją.

Spór przekształcił się w formalną wojnę. Z jednej strony były naukowe doświadczenia, z drugiej gołoszówka, pełna oszczerstw argumentacja, która poruszyła całą Francję. Pasteur ugotował barszcz w butlach, które następnie hermetycznie zamknął i udowodnił, że w tej jałowej, pozbawionej powietrza zupie, nie było zupełnie mikrobów. Profesorowie odpowiedzieli, że mikrokom potrzebne jest powietrze dla rozmnażania się z niczego. Pasteur oświadczył z pasją że zarodki chorób nie znajdują się w samym powietrzu, lecz w kurzu, które je przepełnia.

Wkrótce potem udało mu się to udowodnić, bijąc swych przeciwników prostym doświadczeniem, które stało się zwrotnym punktem w historii ludzkości. Stwierdziwszy kompletny brak mikrobów w wysterylizowanych butlach z barszczem, rozgrzał szyjki ich nad lampą spirytusową i wyciągnął je i wygiął w różne strony, nadając im kształt długich, cienkich rurek. Odpieczętowałszy końce rurek, dał powietrzu wolny dostęp do wyjąłowego i pozbawionego mikrobów barszczu. Okazało się, że kurz z powietrza osiadł na zgięciach rurek i ani jedna bakteria nie przedostała się do żadnej butelki.

Pasteur wyzyskał swój tryumf i publicznie upokorzył zniechęconych wyznawców teorii samoistnego rozmnażania się mikrobów. Na świetnym zgromadzeniu, o udział w którym starały się wszystkie ówczesne znakomitości Paryża, zaprodukował on swoje słynne, bezmikrobowe butle. "To proste doświadczenie", wykrzyknął głośno, "zadaje śmiertelny cios teorii samoistnego rozmnażania się mikrobów".

Znaleźli się wprawdzie sofiści, nadal uśmiechający się z politowaniem. Aż wreszcie wiadomość, nadeszła z Anglii, zelektryzowała wszystkich. Był to list od znakomitego chirurga, Józefa Listera, który gratu-

łował Pasteur'owi wspaniałych rezultatów i dzięko-
wał za otwarcie mu oczu na istotę zagadnienia mik-
robów. "Po raz pierwszy w dziejach ludzkości", pi-
sał Lister, "dzięki zastosowaniu środków antyseptycz-
nych, można spokojnie operować pacjentów bez obawy
zarażenia ich tymi straszliwymi mikroorganizmami, które w
wielu szpitalach zabijały 80% pacjentów.

Pasteur dał się porwać wizji zbawienia cierpiące-
go świata i uział siebie za człowieka, powołanego do
spełnienia tego zadania.

I ten człowiek, aczkolwiek trawiony nieustanną pa-
sją badawczą, znalazł czas na ożenek. "Nie posiadam
w sobie nic, co by się mogło podobać młodej dziewczynie",
pisał do swej umiłowanej. Ona jednak uległa
czarowi jego geniuszu.

Smutne były wieczory i noce pani Pasteur. Spędza-
ła je albo samotnie, podczas gdy jej mąż jak szalenięć
parzył sobie palce w laboratorium, albo też, ułożyw-
szy do snu dzieci, siedziała godzinami na niewygodnym
krześle, pisząc pod jego dyktando.

Pasteur posiadał dar bezpośredniego stosowania wy-
ników zawiłych dociekań naukowych do potrzeb i kłopot-
ów ludzkich. Jako dyrektor badań naukowych w Ecole
Normale w Paryżu dowiedział się, że winiarze fran-
cuscy ponoszą wielkie straty z powodu niewytłomaczal-
nego psucia się wina. Groziło to katastrofą całej
gałęzi tego przemysłu. Na usilne prośby Pasteur u-
dał się na miejsce dla zbadania powodów tego zjawiska.
Był zupełnie pewnym, że przyczynia się do tego jakiś
specjalny rodzaj bakterii. I istotnie, w beczkach
roiło się od drobnutkich żyłatek, zczepionych razem
na kształt paciorków.

Starając się usunąć te bakterie z win jeszcze dob-
rych, Pasteur odkrył, że podgrzewanie wina, natych-
miast po ukończonej jego fermentacji, zabija wszystkie
bakterie prócz tych, które w niezepsutym winie
normalnie się znajdują. Ten sposób częściowej stery-
lizacji płynu drogą podgrzewania go do temperatury
56°- 60°C. zastosowany został później do mleka i zna-
ny jest obecnie pod nazwą pasteryzacji.

W trakcie zaciekłych badań nad światem mikroorganizmów
Pasteur ciężko zaniemógł. Dostał nagle wewnętrznego
krwotoku mózgowego i był bliski śmierci. Liczył
wówczas 45 lat. Gdy doszła go wiadomość, że zostały

wstrzymane prace nad wykańczanym dla niego laboratorium w Paryżu, wpadł on w pasję i postanowił żyć. Zwlókniony się z łóżka kazał się zawieść do swego nowego miejsca pracy. Paraliż połowy ciała, spowodowany krwotokiem, pozostał mu już na resztę życia. Nie oszabiło to jednak wcale energii, z jaką zabrał się on do wykazania światu, że oczyszczenie ziemi z chorób infekcyjnych leży w granicach możliwości człowieka.

Pasteur nie był lekarzem. Zdając sobie sprawę z wynikających z tego dla niego trudności, zaprosił do współpracy dwóch młodych lekarzy Charles Chamberland i Emile Roux, którzy stali się wkrótce fanatycznymi jego wyznawcami. Trójka ta była prototypem późniejszych zespołów lekarzy i chemików zwalczających śmierć i cierpienia ludzkie.

Pasteur nie odczuwał kompleksu niższości wobec uczonych lekarzy. Pewnego dnia był on obecny na posiedzeniu Paryskiej Akademii Medycyny, na którym pewien lekarz-akuszer uczenie wywodził o klesce gorączki położniczej. W niektórych paryskich szpitalach umierało do 5% położnic. "Prawdziwą przyczyną śmierci matek", wykrzyknął Pasteur "jest lekarz, przenoszący zarazki od kobiet chorych do zdrowych."

Pomimo drwin świata lekarskiego z usiłowań Pastaura oczyszczenia ziemi z wszystkich śmiertelnych bakterii, twierdził on uporczywie, że musi istnieć jakiś sposób na zabezpieczenie ludzi przed skutkami ukąszeń tych niewidzialnych morderców. Faktem przecież jest, że po szczęśliwym przebyciu niektórych zaraźliwych chorób, ludzie są już uodpornieni przeciw nim na całe życie. "Trzeba zdobyć tajemnicę uodpornienia organizmu ludzkiego", nawoływał Pasteur. Bezskuteczne badania tego zagadnienia trwały trzy lata, aż wreszcie szczęśliwy przypadek przyczynił się do pomyślnego jego rozwiązania.

Na jednej z półek laboratorium stała przez dłuższy czas zapomniana kultura bakterii kurzej cholery. Nie wiadomo dlaczego przyszło do głowy Pasteurowi i jego dwóm współpracownikom zaszczerpić je parze kurcząt. Ptaki się pochorowały ale szybko wyzdrowiały. W jakiś czas później zaaplikowano śmiertelną dawkę świeżych bakterii cholery całej

gromadce kurcząt, pomiędzy którymi znalazła się zupełnie przypadkowo i wspomniana para uzdrowieńców. Wszystkie kurczęta wyzdychały, prócz tych dwojga, które czuły się doskonale.

Pasteur wpadł w zachwyty. "Tajemnica wyjaśniona" oświadczył swym współpracownikom. "Chodzi tylko o to, ażeby młode i silne bakterie zestarzały się nieco w swych próbkach".

Pasteur miał już wówczas 58 lat, przypadkowe jednak odkrycie działania szczepionki kurzej cholery zapoczątkowało sześć najpracowitszych lat całego jego życia. W 1887 roku udało mu się wyprodukować szczepionkę karbunkułu.

Entuzjazm, z jakim Pasteur oznajmił to odkrycie światu, dotknął do żywego weterynarzy i jeden z nich nazwiskiem Rossignol, uknuł spisek, ażeby publicznie skompromitować odkrywcę. Zaproponował on

Pasteurowi przeprowadzenie doświadczenia z nową szczepionką. Pasteur chętnie się zgodził. "To co podziałało na czternaście owiec w laboratorium musi podziałać na pięćdziesiąt na błoniach Melun," oświadczył swym nieco speszyonym współpracownikom.

Wobec licznego zgromadzenia farmerów, uczonych i różnych znakomitości dokonano szczepienia dwudziestu czterech owiec, jednego kozła i kilku krów. Żadne z tych zwierząt nie padło. Następnie partia zwierząt szczepionych, oraz taka sama ilość nieszczepionych otrzymała bardzo silny zastrzyk świeżych bakterii karbunkułu. W dwa dni później, ponownie zgromadzili się na błoniach uczeni, senatorowie, lekarze, weterynarze i liczni korespondenci zagranicznej prasy.

Całe to dostojne towarzystwo oniemiało z wrażeń, usłyszawszy z ust zdumionych sędziów, że szczepione zwierzęta nie dostały nawet gorączki, pozostałe zaś padły wszystkie, prócz dwóch, które już też zdychały. Przekonało to najzacieklejszych nawet sceptyków. Doktor Biot, jeden z największych przeciwników Pasteura, błagał go o przeprowadzenie na nim doświadczenia ze szczepionką karbunkułu, "trzeba, żeby wszyscy się przekonali o prawdziwości pańskiego cudownego odkrycia", wołał z zapałem.

Najcięższą jednak była ostatnia walka, jaką sto-

czył Pasteur w swym życiu. Była to walka z nieuleczalną, straszliwą chorobą wścieklizny, która nim głęboko wstrząsnęła jako dziewiętnastoletnim chłopcem.

Pasteur był już wówczas najświetniejszym człowiekiem we Francji, nie chciał jednak spocząć na laurach. Jego genialne odkrycia uratowały od śmierci setki tysięcy ludzi i stwarzały możliwości ratunku dla milionów. Było to jednak mało. Pasteur uważał, że nie zrobił jeszcze naprawdę nic godnego uwagi.

Zabrał się więc z całą pasją i kompletnym lekceważeniem grożącego mu nieustannie śmiertelnego niebezpieczeństwa do doświadczeń nad zarażonymi wścieklizną zwierzętami. Przez długi okres czasu nie dawały one żadnych wyników. Nie tylko nie mógł on wydzielić bakterii wścieklizny, ale nie potrafił przenieść tej choroby z jednego zwierzęcia na drugie. Aż wreszcie przyszła mu do głowy genialna myśl: skoro mikroby wścieklizny atakują system nerwowy, czy nie byłoby wskazanym zastrzyknąć je bezpośrednio do mózgu żywego zwierzęcia! Eksperyment ten jednak wymagał przebicia czaszki psa, na co Pasteur, nie znając możliwości bezbolesnego dokonania tej operacji, nie chciał się zgodzić. Doktor Roux zdecydował się jednak na zrobienie zastrzyku bez wiedzy Pasteura i zarażony tą drogą pies padł w niespełna dwa tygodnie potem.

Był to już wielki krok naprzód. Siedlisko zarazków choroby zostało ustalone, jak jednak zabezpieczyć przed nią ludzi? Próby rozwiązania tego zagadnienia trwały dwa lata, aż wreszcie udało się badaczom stwierdzić, że pies może znieść zastrzyki wysuszonego mlecza paciierzowego wściekłego królika, o ile stosowane one są w pewnej kolejności. Zaczęto od zastrzykiwania substancji suszonej w próbkach przez czternaście dni, a więc już silnie wyjałowionej i skończono na stosunkowo świeżej, bo zaledwie jednodniowej.

Pozostawało jeszcze stwierdzić jak szczepiony pies zareaguje na zastrzyk zupełnie świeżych zarazków. Dla Pasteura była to próba, która miała zdecydować o wartości wysiłków całego jego życia. Był on tak nią przejęty, że nawet zapomniał o rocznicy swego ślubu.

Nadeszła jednak chwila całkowitego tryumfu. Zaproszona przez Pasteura komisja ogłosiła następujący werdykt: "pies stopniowo uodporniany coraz bardziej zjadliwą szczepionką z mlecza pacierzowego chorego na wściekliwość królika jest całkowicie i na zawsze zabezpieczony przed tą chorobą".

Pasteur po prostu został zasypywany listami i depeszami z Francji i z zagranicy, od cesarza Brazylii, od lekarzy, od zrozpaczonych ojców i matek, czekających ze zgrozą na śmierć swych dzieci, pogryzionych przez wściekłe psy.

I tutaj po raz pierwszy w życiu Pasteur cofnął się przez wzięciem na siebie odpowiedzialności. Nie był to już karbunkuł, który w razie zastosowania cokolwiek za silnej szczepionki mógł spowodować śmierć kilku owiec. Tu najmniejsza pomyłka mogła zdecydować o życiu dzieci - ludzkich istot.

Wreszcie doprowadzona do rozpaczony pani Meister z Alzacji wymusiła na Pasteurze decyzję. Wtargnęła do laboratorium ze swym dziewięcioletnim synkiem, którego dwa dni przedtem pogryzł w czternastu miejscach wściekły pies i z płaczem błagała o ratunek.

Chłopak dostał czternaście zastrzyków, które zniósł doskonale i powrócił do domu zdrowy.

Od tej chwili "cudotwórca z ulicy d'Ulm" stał się celem pielgrzymek ludzi z całego świata. Ze Smoleńska przyjechało dziewiętnastu chłopów, pogryzionych przed dwoma tygodniami przez wściekłego wilka. Dzikie postacie w futrzanych czapach, znające jedno tylko francuskie słowo "Pasteur", wzbudziły litość całego Paryża. Wszyscy byli przekonani, że los ich jest przesądzony.

Trudno sobie wyobrazić szal zachwytu i dumy, jaki ogarnął Paryżan na wiadomość, że wszyscy z tych skazanych na śmierć ludzi zostali uratowani. Car przysłał Pasteurowi wysadzaną brylantami gwiazdę Sw. Anny i 100.000 franków na zapoczątkowanie budowy gmachu dla łowców mikroobów, znanego obecnie pod nazwą Instytutu Pasteura. W ślad za tym darem zaczęły płynąć na ten cel miliony ze wszystkich stron świata.

Gdy już zakończy się tragedia obecnej wojny, niech młode pokolenie naukowców przypomni sobie testament,

jaki Pasteur zostawił ludzkości w siedmdziesiątym roku życia z okazji uroczystości wręczenia nadanego mu przez Sorbonę złotego medalu. Sala słynnej uczelni przepełniona była uczonymi wielu krajów i studentami wszystkich paryskich uniwersytetów, kiedy na wprost sparaliżowany starzec z trudem wszedł na podium, wsparty o ramię prezydenta Francuskiej Republiki. Mówić sam już nie mógł, wyręczył się więc synem, który odczytał jego natchnione słowa:

"Nie plamcie się bezpłodnym sceptycyzmem, nie poddawajcie się uczuciu zniechęcenia w przemijających godzinach smutku, przeżywanych przez narody. Żyćcie w pogodnym spokoju pracowni i bibliotek. Upewnijcie się przede wszystkim, coście zrobili dla swego wykształcenia, a potem coście uczynili dla swej ojczyzny. Aż przyjdzie czas kiedy będziecie mogli powiedzieć sobie z uczuciem bezmiernej radości, żeście się przyczynili w pewnym stopniu do postępu i szczęścia ludzkości".

Tak wołał Pastuer do młodego pokolenia dzisiejszej doby.

Opieka nad rannym żołnierzem.

Marshall Yarrow, korespondent Reutera miał wywiad z gen. H. W. Kennerem, szefem sanitarnym przy kwaterze głównej Naczelnego Dowództwa. Otrzymał on ciekawe dane, dotyczące udzielania pomocy lekarskiej rannym żołnierzom w kampanii obecnej we Francji.

Organizacja sanitarna na wojnie posiada przeogromne znaczenie tak pod względem psychicznym jak i materialnym. Gdy żołnierz widzi, że się dba o niego w każdej sytuacji i w każdym wypadku, inaczej się czuje i inaczej walczy. Z drugiej strony dobra organizacja sanitarna pozwala na uratowanie wielkiej ilości rannych żołnierzy nie tylko od śmierci, ale bardzo często i od kalectwa, pozostającego niejednokrotnie już na całe życie.

Czas, w jakim ranny otrzymuje pierwszą pomoc, warunki przewozu do szpitala polowego, wreszcie ewakuacja do szpitali na tyłach, wszystko to odgrywa ogromną rolę szczególnie w wypadkach, gdy nawet minuta może stanowić o życiu człowieka.

Gdy żołnierz armii sojuszniczej zostaje ranny we Francji, ma on 97 szans na 100, że będzie żył. Gdy już się znajduje w jednym z brytyjskich szpitali, szanse te wzrastają do 269 w stosunku do jednej, że powróci do zdrowia.

Straty brytyjskie i amerykańskie wzięte razem są o 30% mniejsze od strat, których oczekiwano.

Powyższe dane zostały ujawnione i podane przez gen. H.W. Kennera, szefa sanitarnego przy kwaterze głównej Naczelnego Dowództwa.

Organizacja prowadząca do tak niskich rezultatów śmiertelności, jest tak samo skomplikowana, jak i organizacja samej armii. Ogarnia ona wszystkie odgałęzienia służb.

Sanitariusz dźwigający torbę ze środkami pierwszej pomocy, a współpracujący poza linią z lekarzami. Statki-szpitala, samoloty transportowe, jak również niskie lecz wszechobecne "jeep'y", wszystko to odgrywa ważną rolę w ratowaniu rannych.

Dostateczne dostawy leków - w tym cudów dokazująca pencylina - świetnie pomagają w pracy.

Najbardziej jednak wpływa na zmniejszenie śmiertelności szybka ewakuacja cięższych rannych drogą powietrzną. 30% rannych przewiezionych zostało z Francji do Anglii samolotami. Skrócenie czasu przewozu uratowało życie setkom żołnierzy.

Ranni Amerykanie przewożeni są nawet do Ameryki. Powietrzne szpitale, przelatujące ocean, wyekwipowane są znakomicie. Posiadają na swym pokładzie dwóch obsługujących i wykwalifikowaną sanitariuszkę, mogącą zmienić opatrunek, jeżeli zachodzi tego potrzeba.

W drodze w razie komplikacji ranni pozostawiani są w zorganizowanych szpitalach do czasu, kiedy nabiorą sił do dalszej podróży. Jeszcze ani jeden człowiek nie zmarł w tych transportach, trwających mniej niż siedemnaście godzin.

W dawnych wojnach najbardziej niebezpieczną była przerwa między zranieniem a pierwszym opatrunkiem. Sprzyjało to w dużym stopniu rozwinięciu się zakażenia. Nie istnieje to dzisiaj, gdyż pomoc nadchodzi w bardzo szybkim tempie.

Ranny żołnierz otrzymuje pierwszy opatrunek od

towarzyszącego mu w pierwszej linii sanitariusza. Polowe szpitale nakładają opatrunki, dają zastrzyki i stosują różne środki na wzmocnienie organizmu.

Jeżeli żołnierz nie jest ciężko ranny, życie jego jest ocalone już w chwili odtransportowania go do tyłów.

Rodzaj ran w kampanii francuskiej uległ obecnie zmianie. Na początku największej strat dawała małowalibrowa broń, obecnie zaś przybywa wielu żołnierzy rannych odłamkami szrapneli i granatów.

Generał Kenner nie miał słów dla pracy wykonywanej przez sanitariuszki. Trzeba było specjalnym rozkazem uregulować ich zmianę co dwanaście godzin, groziło bowiem tym dziewczętom zupełne wyczerpanie fizyczne.

Generał na przykładzie pokazał, jak szybko obecnie przychodzi pomoc sanitarna. Pewien oficer zapytał się na linii rannego żołnierza, jak długo musiał czekać na założenie opatrunku. Żołnierz odpowiedział, że 45 min. Oficer był zadowolony, ale dla żartu zapytał: "Czemu tak długo"?

"Było wielu ciężko rannych, leżących w pobliżu, musiałem przeto czekać mojej kolejki", poważnie odpowiedział ranny.

"Jeep" ogromnie pomaga w wyciąganiu rannych, może on bowiem dojść tam, gdzie nie dojedzie sanitarka.

Opatrzeni na polu żołnierze są zabierani z linii do polowych szpitali w ciągu 20 minut.

Niemcy respektują Czerwony Krzyż. Tylko jeden raz polowy szpital został zbombardowany i to widocznie przez omyłkę.

Żołnierze zmienili obecnie swe zdanie o sanitariuszach. W dawnych wojnach uważano ich za łazików, nie biorących udziału w walkach. /W armii polskiej nazywano ich żartobliwie łapiduchami/. Dzisiaj sanitariusz znajduje się zawsze w pierwszej linii z żołnierzem walczącym. I ten żołnierz wyraża się o nim z szacunkiem i uznaniem.

Pozostało nam kilkadziesiąt kompletów tygodnika z lat 42 i 43 w cenie 12/- za komplet. Zamówienia, jak również i na pojedyncze egzemplarze, przyjmuje Administracja "GO SŁYCHAC", 40, Bruntsfield Place.

EDINBURGH.

Listy do Redakcji.

W numerze 12-tym "Co Słysać" wydrukowaliśmy artykuł p. t. "ROLA ŚLEDZIA W HISTORII NARODÓW". Artykuł odbił się szerokim echem pośród naszych marynarzy i otrzymaliśmy szereg listów na ten temat.

Jeden z nich pozwałamy sobie ogłosić, jako charakteryzujący myśli i nastawienia marynarzy polskich. Jednocześnie prosimy i innych marynarzy o wypowiedzenie się w tej materii.

Szanowny Panie Redaktorze!

My rybacy połowów dalekomorskich mile powitaliśmy w Pańskim "Co Słysać" streszczenie artykułu George'a Mell "Fish of Destiny" pod tytułem "Rola śledzia w historii narodów". W historii Narodu Polskiego śledź odegra rolę również bardzo ważną. "Karol II", czytany w Pańskim artykule, "kontynuował politykę Cromwella, wyłożoną w Navigation Act i chcąc zapewnić flocie stały dopływ dobrych marynarzy, popierał połowy morskie". Anglicy to rozumieją nie tylko ze względu "businessu". Takiego typu robotnika, człowieka morza, jakiego wyszkoli trawler rybacki, pracujący wśród sztormów i lodów morza Berenza, Białego, Północnego, czy wysp Lofotskich lub Islandii, nie wyszkoli żaden inny statek handlowy czy okręt wojenny.

Ciężkie warunki, w jakich pracuje rybak, wytwarzają specjalny typ człowieka morza, który jest podstawą każdej floty handlowej czy wojennej.

Rozbudowa polskiej floty rybackiej jest bodaj ważniejszą sprawą na przyszłość, aniżeli floty handlowej i wojennej, będzie ona bowiem podstawą i fundamentem tych ostatnich.

Po przeczytaniu Pańskiego streszczenia, napisałem artykuł p. t. "Polskie Rybołówstwo Dalekomorskie", który przesyłam do łaskawej Pańskiej oceny. Dane co do polskiego rybołówstwa podaję ścisłe, gdyż może Pan się spotkać z zarzutami ludzi, w których interesie nie leży rozbudowa polskiej floty rybackiej, a którzy pragnęliby mieć zapewniony stały rynek zbytu w Polsce.

To są ludzie interesu, którzy już dziś szykują się na eksport śledzia do Polski, przy czym rozwój polskiego rybołówstwa dalekomorskiego zupełnie nie leży im na sercu.

Pozostają etc. Wiktor G.

Samotna chwata Kompanii przeciwpancernej

WAWRZYNIEC CZEREŚNIEWSKI.

Z wielu jednostek polskich, walczących pogodnie go a tragicznego lata 1940 roku u boku sojuszniczej armii francuskiej - kompanie przeciwpancerne doczekały się chwaty samotnej, aczkolwiek niemniej krwa-wo i ofiarnie wykonywały obowiązek żołnierski, jak i pozostałe walczące we Francji oddziały.

"Mieszkańcy" Coetquidanu z maja 1940 roku - pamiętają pośpiesznie mundurowane oddziały, odznaczające się ciemnymi beretami. Oddziały te naraz wy-rastały w obozie - poczem znikają. Były to kompanie przeciwpancerne, tworzone i odchodzące z obozu, szybko ekwipowane, jeszcze szybciej doszkalane i z niezwykłym pośpiechem przydzielane do dywizyj francuskich - jako "ich" kompanie przeciwpancerne.

Wiadomo dotychczas o istnieniu takich jedenastu kompanii, aczkolwiek źródła francuskie określają ich pełną liczbę na czternaście. Niewielu z tych samotnych, tragicznych "pepanców" dotarło do Wielkiej Brytanii. Część znajduje się wśród masy je-nieckiej. Przepuszczalnie grubo więcej - oddało swe życie, wykonywując obowiązek walki z wrogiem - bez reszty.

Dowództwo francuskie nie szczędziło polskich pepanców. To też roboty wojennej było co niemiara, w ustawicznym odwoocie przy przewadze ogniowej i sprzętowej nieprzyjaciela.

Jedna z tych zapomnianych kompanii powstała 23 maja, a wyruszyła już 6 czerwca na front, jako przydzielona do 85 dywizji piechoty. Wykazać się musiała istotnym wysiłkiem bojowym. Mówi o tym fakt nadania przez dowództwo francuskie dnia 29-VI-1940 wszystkim obecnym na apelu żołnierzom Croix de Guerre. Szesnaście Krzyży Walecznych za udział w kampanii francuskiej nadał tym przedw-pancernym Naczelny Wódz w Wielkiej Brytanii.

W ciężkich walkach odwrotowych, w ustawicznym pogotowiu, przy stałym nacisku z powietrza - jeden z batalionów francuskiej piechoty "gdzieś na froncie" mija przydrożne krzaki, gęstniejące od horyzontu aż po drogę. Przy batalionie znaj-

duje się czwarty pluton kompanii z obsadą dwu działonów.

W chwili mijania gęstwiny przez przeciągające wojsko - słychać naraz szum czołgów i trzygąsienicowe potwory wychylają się z gęstwiny, otwierając ogień na maszerujący baon i działony.

Wszystko nieomal martwieje. Wydaje się że nadchodzi zagłada ze śmiercionośnych luf czołgów niemieckich.

Działonowy podchorąży nie traci przytomności. Podrywa działon, odczepia działko, ustawia, wyjmuje i ładuje amunicję.

Czołgi tymczasem walą ogniem z broni maszynowej, terroryzując, chociaż strzelają niezbyt celnie.

Nieugięty działonowy odpala raz po razie. I dzieje się rzecz, którą trudno sobie wyobrazić.

Strzały są celne. Jeden czołg zaszczepia się ogniem. Drugi - również trafiony - milknie. Trzeci, osamotniony - pośpiesznie zawraca i znika. Nie trwało to wszystko długo.

Dowódca plutonu, gdy działonowy borykał się z armatką, sam niosąc rkm - rozpoczął strzelać seriami w kierunku czołgów. Ani jeden, ani drugi nie się ze sobą nie zmawiali. Wykonali z punktu, co do nich należało, przy czym działonowemu dopisało szczęście trafienia wroga.

Po tym migawkowym, pełnym grozy dramacie - batalion przechodzi odcinek bez jakichkolwiek strat. A na pierwszym miejscu postoju - dowódca francuski - ustawia wszystkich swoich oficerów rzędem. Przyzywa obsługę działonu - i ustawieni w sznur oficerowie dziękują i gratulują szczęściarskiemu działonowi sukcesu. Ów baon w najbliższym czasie zagarnia do niewoli kompanię Niemców.

Polski pluton przeciwpancerny, w składzie tak dobrze strzelającego działonu - nadal towarzyszy batalionowi piechoty francuskiej, zawsze w walce przeciwko broni pancernej nieprzyjaciela.

Normalnym biegiem wypadków na wojnie - nie zostaje z tego plutonu wielu, gdy uderzył weń gorzej niż ostrzał wrogich czołgów - fatalny czas rozejmu.

7. Mika - cudowny minerał.

M.P.

W Mexico City wychodzi niemieckie pismo pod nazwą Freies Deutschland. Ukazał się w nim dobry artykuł na temat miki, tak wartościowego dzisiaj w dobie elektryczności minerału. Artykuł ten, pod tytułem "Mika jest wartościowym lecz skromnym minerałem," pióra Egona Irwina Kisch, podajemy w streszczeniu.

Niegdyś, bardzo już dawno temu, żyła księżniczka imieniem Mika. Pałac jej ukryty był głęboko we wnętrzu gór. W dniu swych urodzin otrzymała ona od wróżek tyle cudownych darów, że nikt w całym rozległym królestwie minerałów nie mógł się z nią równać pod względem urody i mocy.

Choć ją wyglądała uroczo i delikatnie, nie była ona wcale słabą. Przeciwnie, dorównywała mocą i wytrzymałością skałom i żelaznej rudzie, a może nawet je przewyższała. Mogła żyć w ogniu nie topniejąc i leżeć latami w wodzie, nie rdzewiejąc. Mróz nie psuł jej cienkiego naskórka, a żaden kwas nie potrafił zniszczyć jej delikatnego ciała. Człowiek skusił się z początku jej złotym, srebrnym i perłowym połyskiem, odrzucił ją jednak z pogardą gdy się przekonał, że nie ma ona nic wspólnego ze szlachetnymi metalami, a jest tylko pospolitym krzemianem aluminium, przemieszonym z innymi krzemianami. Co najwyżej używał jej w domu, jako szyby do pieca, przez którą mógł obserwować płonąący wewnątrz ogień.

Aż wreszcie nadszedł dzień, kiedy człowiek zaczął posługiwać się elektrycznością i przekonał się, że mika jest niezastąpionym materiałem przy budowie wszelkiego rodzaju elektrycznych maszyn. W ten sposób stała się ona cennym artykułem światowego handlu.

W dawnych czasach znajdowano jeszcze mikę na powierzchni ziemi. Obecnie jednak skryła się ona głęboko we wnętrzu i odnalezienie jej nie jest łatwe. Szczególnie w górach Meksyku, przeoranych wielokrotnie przez trzęsienia ziemi. Nie tworzy tam ona żył i znajduje się w

rozmaitych gatunkach gleby, a nawet w różnych geologicznych pokładach. Ukrywa się we wklęsłościach, czasem w gruncie wulkanicznym, czasem w osadowym. Wie się o jej istnieniu w danym miejscu, niewiadomo jednak, jak głęboko trzeba jej szukać. Zmiany w układzie gruntu, deszcze lub kopanie wyrzucają na powierzchnię odłamki miki, wskazujące na jej obecność w pobliżu. Nie zdradzają one jednak dokładnego miejsca jej ukrycia. Mika rozrzucona jest w ziemi zupełnie przypadkowo, tak jak wiśnie w cieście. Ciasto można krajać kawałek po kawałku nie znajdując ani jednej wiśni, podczas gdy kto inny znajdzie wiele już w pierwszym. Z zewnątrz nikt nie potrafi powiedzieć, gdzie się te wiśnie znajdują, ani gdzie jest mika w ziemi. Na świecie niema tak dziwaczych kopalni jak meksykańskie kopalnie miki. Rurociąg, doprowadzający zgęszczone powietrze do młotów, wije się fantastycznie, a stanowiska górników rozrzucone są na najprzeróżniejszych poziomach. Nawet ilość dynamitu, używanego do rozsadzania skał, stale się waha. Czasem wystarczy jeden ładunek, czasem trzeba założyć trzy lub cztery. Nigdy jednak więcej, gdyż zbyt głęboka wyrwa mogłaby uszkodzić poszukiwany minerał.

Ze znalezioną wreszcie po długich poszukiwaniach miką trzeba się obchodzić ostrożnie i delikatnie. Jeżeli nie można wydobyć jej rękami, używa się do tego celu drewnianych łopatek, zwanych "barena". Przeniesiona na szosę i załadowana na ciężarowe wozy, przewożona jest do starej arystokratycznej siedziby w mieście Oaxaca. Tam, przy długich stołach, rozstawionych na podwórku, pracują kobiety i dziewczyny. Przy kamiennym basenie starej fontanny mężczyźni ostrzą noże dla kobiet, oczekujących na swą ofiarę w maskach. Częsteczki miki fruują w powietrzu, jak mikroskopijne barwne wałki, urzędowe więc obwieszczenie głosi, że kobiety winny pracować w maskach. Ograniczają się jednak one do noszenia przepasek gazowych, zakrywających usta i nozdrza. Inne bowiem obwieszczenie, rozplakatowane przez pracodawców, poucza że maski są zbyteczne, gdyż mika jest całkowicie

nieszkodliwa. Inne kwarcy i minerały pozostawiają w płucach pył mineralny, powodujący stwardnienie, a nawet zupełne zniszczenie tkanek. Mika zaś, jako nie rozpuszczalna, nie może powodować tego rodzaju zmian w organizmie ludzkim.

Żadne jednak obwieszczenie nie może twierdzić, że praca przy micy jest zupełnie bezpieczna. Wszystkie prawie robotnice ranią sobie dłonie i palce przy rozkupywaniu miki zaostrzonymi i pozbawionymi ręczek nożami.

Na każdym stole znajduje się waga, na której obrobiona już mika jest starannie ważona. Do zważonej ilości dodaje się jeszcze odpadki tego cennego minerału, które zebrały się w małym pudełku zawieszonym na piersiach każdej robotnicy, poczym wszystko razem dokładnie się oblicza i zapisuje. Ma to na celu zabezpieczenie się przed możliwością kradzieży miki, na którą zawsze jest wielu amatorów.

W przemyśle i handlu są w użyciu trzy gatunki miki. Pierwszy, zwany "blokiem" produkowany jest w formie płyt, o powierzchni około dwudziestu centymetrów kwadratowych i grubości kilku milimetrów. Dostarczane są one przedsiębiorstwom elektrotechnicznym, które używają je do wszelkiego rodzaju maszyn. Drugi zwany "książką", ma istotnie kształt książki składającej się z 25-100 numerowanych stron. Ma on zastosowanie w fabrykach samochodowych. Trzeci wreszcie zwany "płatkami", jest najcieńszym z istniejących gatunków miki. W fabrykach płatki te, ułożone jeden na drugim, są wypiekane w szelaku i prasowane pod hydrauliczną prasą. Gotowy produkt nazywa się mikanitem i używany jest do aparatów elektrycznych w setkach najprzeróżniejszych kształtów, nawet w kształcie okrągłych i kwadratowych rur.

Mika przestała już być tajemniczą księżniczką i jest obecnie potężną i powszechnie cenioną królową. Gdziekolwiek w ciasnocie silnika elektrycznego zagrażają sobie przewody wysokiego napięcia, delikatna mika wkracza pomiędzy nie i nie dopuszcza do zabójczych spięć. Bez jej pomocy wszystkie radioodbiorniki byłyby głuche, wszystkie aparaty

Roentgena ślepe, żaden samolot nie mógłby latać, ani jedno żelazko elektryczne - spełniać swego zadania. Eleganckie panie nie miałyby "wiecznie" ondulowanych włosów, a co może jeszcze ważniejsze, nie byłoby na świecie czołgów. Gdyby nie jej właściwości izolacyjne, rozwój przemysłu elektrotechnicznego wyglądałby zupełnie inaczej. Mało jest na świecie substancji, których zniknięcie mogłoby wywołać tak poważne skutki dla cywilizacji, jak zniknięcie miki.

Angielski ekspert Sir Roger Drinkwater twierdził, że niepowodzenia niemieckie w latach 1916-1918 należy przypisać w znacznej mierze brakowi miki. On to również zwracał w 1939 r. uwagę na to, że Niemcy zakupują w olbrzymich ilościach bengalską mikę. W tym samym mniej więcej czasie Japonia, zaczynając się obawiać o los swych głównych źródeł miki w Biharze i na Madagaskarze, utworzyła przy pomocy pewnych tajemniczych wspólników, towarzystwo górnicze /Turu Mining Company/ w Oaxaca, będące pierwszym koncernem produkcyjnym w Meksyku. W 1940 r. nabyła Japonia na rynku amerykańskim tak olbrzymie ilości miki, że wyeliminowała wszystkie drobne i średnie amerykańskie firmy. Wynalezienie przez uczonych rosyjskich sposobu produkowania syntetycznej miki był z początku uważany za jeszcze jeden tryk propagandy sowieckiej oraz za dowód niemożliwości utrzymania w ruchu starych kopalni miki.

Prasa ekonomiczna przepowiadała, że Rosja nie będzie w stanie prowadzić długiej wojny, ponieważ nie zgromadziła zawczasu odpowiednio wielkich zapasów miki.

Na szczęście ubytek miki z powodu jej niszczenia się jest nieznaczny. W rozbitym samolocie, w statku wyrzuconym na brzeg, w zbombardowanej fabryce elektrotechnicznej, w każdej zniszczonej elektrycznej maszynie jedna rzecz pozostaje najczęściej nieuszkodzona i zdatna do ponownego użytku, a jest nią mika. W taki to sposób ta delikatna księżniczka stawia zwycięsko czoło wszystkim burzom.

Administracja "CO SŁYCHAC" przyjmuje drobne prace drukarskie w języku polskim, francuskim i angielskim. Szybko wykonujemy zaświadczenia, świadectwa szkolne, legitymacje i t.p. Zamówienia od 200 egz.

8. Typ amerykańskiego szofera.

M.P.

Poniższa historyjka, oparta na prawdziwym zdarzeniu, streszczona została z amerykańskiego tygodnika "This Week Magazine".

Charakteryzuje ona typ amerykańskiego taksówkarza noszącego w dodatku polskie nazwisko.

Szoferzy to sprytny naród. I to na całym świecie bez wyjątku. Posiadają możliwości poznawania i oceny ludzi, jak rzadko kto na świecie.

Płk. Jack Redding współautor książki p. t. "Drogi powietrzne do Berlina" potrafi podpatrywać drobne epizody życiowe i oddawać je w swych krótkich, interesujących opisach.

Marynarz płakał... Chłopczyna najwyżej 17 lat. Pragnął się opanować, aż mu twarz drgała z wysiłku. Stał na chodniku mąc machinalnie w rękę depeszę, obojętny na ruch i uliczny zgiełk.

Na jezdni taksówkarz Joe Wiszniewski studiował uważnie rozłożoną na kierownicy gazetę, wypatrując niezawodnego "fuksa" w szóstym biegu. Dojrawszy w lusterku postać marynarza, przechylił się na siedzeniu, otworzył szeroko drzwiczki taksówki i zawołał:

"Może podwieść, panie marynarzu?"

Chłopak zaważał się przez chwilę i odwrócił się w przeciwną stronę.

"Coś nie w porządku", mruknął szofer i postanowił nie dać za wygraną. "Hej, panie marynarzu! Chodźno tutaj! Co się stało? Chory?"

"Nie".

"Więc czym się gryziesz!" zapytał cierpko i zdawało się, że chłopak w odpowiedzi wybuchnie. Spojrzał jednak w oczy szofera i milcząco podał mu zniętą depeszę. Treść była krótka: "Matka ciężko chora. Wzywa ciebie. Czy możesz przyjechać?"

Joe uważnie ją przeczytał i spojrzał na chłopca: "No więc na co czekasz? Dostałeś chyba urlop?"

"Dostałem, ale pieniędzy nie mam. Jestem tu świeżo przeniesiony i nie znam nikogo".

"Potrzebujesz pieniędzy?.. Taksówkarz zmierzył

chłopca krytycznym wzrokiem. "Oh, pieniądze dostanę. Czerwony Krzyż mi da, ale to potrwa parę godzin, a tymczasem..."

Marynarz składał i rozkładał depeszę. "Tak a tym czasem... powtórzysz wolno Joe. "Słuchajno, ile kosztuje bilet?"

"Sześć dolarów. Lynn Massachusetts". Marynarz zawrócił się na pięcie i zaczął się oddalać. Taksówkarze, to doświadczony i ostrożny naród. Znają się dobrze na ludziach i każdego podejrzewają o najgorsze. A jednak Joe Wiszniewski nie dał chłopcu odejść.

"Chodź no, panie marynarzu", zawołał. Pakuj się do wozu. Za chwilę będzie pociąg do Bostonu. Zarobikiem dziś siedm dolarów i mogę ci je pożyczyć".

"Ależ ja nie mogę tego przyjąć," zaprotestował chłopak. "Pan mnie nie zna". "Stul buzię i nie mędrkuj, bo się spóźnimy". Czekałem na taksówkę przy Grand Central, kiedy Wiszniewski podjechał. Kontroler biletowy zauważył, że chorągiewka taksówki nie była opuszczona i zaczął mu wymyślać.

Joe nie zwracał nań żadnej uwagi. Wepchnął chłopcu pieniądze do ręki i ponaglał go do pośpiechu. "Spiesz się smarkaczu. Pociąg odchodzi za pięć minut."

Marynarz zwrócił się do kontrolera: "Panie kontrolerze on chciał mi pomóc. Byłem bez grosza, kiedy otrzymałem to," pokazał depeszę. "Dlatego przywiózł mnie tu darmo i dał jeszcze siedm dolarów na bilet na dokładkę".

Kontroler przeczytał depeszę i spojrzął z niedowierzaniem na taksówkarza. "Czy to wszystko prawda?" zapytał. "A gdyby i prawda, to co? Puszczaj pan prędzej smarkacza, bo się spóźni na pociąg. A my pogadamy później".

Kontroler odsapnął głęboko i zagwizdał. "Chodź, chłopcze, przeprowadzę cię na peron". Obejrzał się na Joe i warknął: "A ty zwiewaj stąd do diabła galopen, zrozumiano?"

Byłem świadkiem końca tego wydarzenia, a Joe opowiedział mi po drodze jego początek. Wsiadając dałem mu dziesięciodolarowy banknot.

"Proszę doliczyć do należności za jazdę siedm dolarów, które pan pożyczył chłopcu," powiedziałem.

"A to z jakiej racji, panie majorze?" Joe wpatrywał się we mnie chłodno, odliczając skrupulatnie resztę "Czyżby pan nie dowierzał marynarzowi? Ja mu ufam".

9. Kasta junkrów a Hitler.

Hitler rozkazał powiesić ośmiu wyższych niemieckich oficerów. Brzmi to po prostu niewiarogodnie. Ośmiu oficerów, członków niemieckiej wojskowej elity, może potomków starych rodów, które od paruset lat prowadzą armię do walki. Ludzi, posiadających niemały prestiż, otoczonych nimbem nietykalności w narodzie, tak militarystycznie nastawionym jakim jest naród niemiecki.

Musiały chyba nastąpić w Rzeszy głębokie zmiany psychiczne, jeżeli taki wypadek mógł mieć miejsce. Lub też może dzisiejszym panom Niemiec wydaje się, że nastąpiły. Przepuszczając jednak należy, że się pod tym względem pomylili. I za tę omyłkę mogą zapłacić tak krwawą cenę, jakiej dotąd jeszcze historia nie znała.

Nie wiadomo, czy to nastąpi już, czy też przed samą klęską, ale przyjść to musi. Niemiecki korpus oficerski nie daruje zniewagi... Ośmiu z pośród nich zostało powieszonych... Ten wypadek musi być brzemienny w tragiczne dla Niemiec konsekwencje.

Hitler nie może swym przeciwnikom zarzucić braku patriotyzmu. Przecież elita korpusu oficerskiego marzy o panowaniu Niemiec nad światem i cierpliwie do tego dąży. Niezależnie kto by tego dokonał, będą służyć wiernie każdemu. Hitlerowi czy diabłu. Lecz ani Hitlerowi ani diabłu nie przepuszczą, gdy spostrzegą, że niedołężne kierownictwo prowadzi Niemcy do klęski, po której w przyszłości i myśleć nie będzie można o podjęciu ponownej próby opanowania świata.

I tu leży źródło zarzewia buntu pośród wyższych oficerów niemieckiej armii.

Spostrzegłszy przewagę nieprzyjaciela na wszystkich frontach, pragnęli powtórzyć komedię 1918 roku. Pragnęli ocalić choćby ułamek potęgi Rzeszy, co pozwoliłoby im rozpocząć dzieło od początku, niezależnie od czasu. Cierpliwości im nie brak. Będą zdawać swą wolę na synów, wnuków i prawnuków, ale w przyszłym

biegu historii chcą swego celu dopiąć. Chcą panować jeżeli nie nad światem całym, to przynajmniej nad Europą, w której widzą swój "lebensraum".

I o ironio, gdy już te marzenia były prawie zniszczone, "wodzowi" przewróciło się we łbie. Przecież był panem całej prawie Europy. Imię jego znane było na świat cały. Każde dziecko w najgorszym zakątku wie-działo, co oznacza słowo "Hitler".

I wtedy przestał słuchać rad swych generałów i marszałków, którzy mu to zwycięstwo wywalczyli. Po raz pierwszy przed zaatakowaniem Rosji, później coraz częściej, choćby dla pokazania swej woli i postawienia na swoim.

Oczywiście, w takich warunkach nie można było bez przerwy zwyciężać. Wewnętrzne tarcia i niesnaski, tym bardziej na najwyższych szczeblach, żadnemu jeszcze narodowi nie dały w rezultacie zwycięstwa. Już od Stalingradu, a może jeszcze przedtem, zaczęło się prawdopodobnie kotłować w sztabie i w najbliższym wojskowym otoczeniu "wodza". Nie było jednak człowieka, któryby się zdobył na czyn i usunął Hitlera w porę. I który nie obawiałby się potem wzięcia odpowiedzialności i losów dalszej wojny na swoje barki. Junkrzy oglądali się jeden na drugiego i...czekali. Gdy wreszcie wykonali zamach, uczynili to nieudolnie i ten brak energii i poświęcenia krwawo spadły na ich własne głowy.

Ośmiu wysokich oficerów skończyło śmiercią zwykłych zbrodniarzy. Wkrótce się okaże, czy kasta junkrów jest tylko słabą masą niezdolną do jakiegokolwiek czynu, czy też są to potomkowie feudalnych magnatów, którzy nikomu nie darują zniewagi. I to takiej zniewagi. I jeszcze z czyich rąk. Jakiś marny austriacki "Schickelgruber". Chyba tym błękitnokrwistym panom wściekłość odbiera rozum na samą myśl o tym. Zaciskają pięści, zgrzytają zębami. Ale czy potrafią teraz dać sobie radę ze skonsolidowaną i dobrze pilnującą się hitlerowską zgrają? I to w momencie, gdy nieprzyjaciel ze wszystkich stron wali we wrota samych Niemiec?

Najbliższe tygodnie odpowiedzą nam na zadane pytania. Jedno zdaje się być pewne: egzekucja, wykonana z wyroku "ludowego sądu", przyspieszy rozwiązanie wojny w Europie o wiele miesięcy wcześniej.

10. Biurokracja w Ameryce.

M. P.

Wszyscyśmy narzekali w Polsce na biurokrację. Biurokracja, to plaga naszych czasów. Ale to nie tylko w Polsce ta plaga dokuczyła ludziom. W W. Brytanii już także na nią sarkają. Posłuchajmy teraz, co pisze Lawrence Sullivan o biurokracji amerykańskiej w artykule swym "Bureaucracy Runs Amuck". /Biurokracja szaleje/.

Lista płacy administracji cywilnej Stanów Zjednoczonych obejmuje obecnie ponad 3.300.000 urzędników, co stanowi ekwiwalent dwustu dwudziestu dywizji piechoty. Inaczej mówiąc, jeden urzędnik przypada na każdego trzech żołnierzy w służbie Stanów Zjednoczonych. Cyfra ta przekracza ilość ogólną pracowników, zatrudnionych zarobkowo w stanie Illinois, będącym trzecim z kolei pod względem uprzemysłowienia stanem Ameryki Północnej. Jest ona również znacznie wyższą od liczby pracowników przemysłu stalowego Stanów, liczących 1.700.000 ludzi, przemysłu maszynowego /1.800.000/ i zatrudnionych w budownictwie okrętowym /2.000.000/.

W roku 1910 jeden urzędnik federalny przypadał na 264 mieszkańców Stanów. Obecnie stosunek ten wynosi 1 do 41.

Kongres czynił usiłowania sklasyfikowania płac urzędników federalnych w stosunku do ich udziału w wysiłku wojennym państwa. Spełzło to jednak na niczym, ponieważ wiele urzędów przejęło na siebie fikcyjne zadania wojenne. Departament Rolnictwa na przykład prowadzi obecnie szereg agend z zakresu obrony narodowej. Komisja Morska przekształciła się w Zarząd Żeglugi Wojennej. Federalna Komisja Komunikacji znalazła dla siebie "job" wojenny w postaci prowadzenia podsłuchu zagranicznych audycji radiowych. Nawet Drukarnia Państwowa stała się "instytucją wojenną" z tytułu drukowania książek żywnościowych.

Dzięki temu można było pozorować przerosty biurokratyczne wymaganiami obrony narodowej. Departamenty zaś Wojny i Marynarki Wojennej, ponoszące rzeczywisty ciężar wysiłku wojennego, muszą konkurować o wykwalifikowany personel z typowo "pokojowymi" urzędami i instytucjami.

Historia poucza, że biurokracja posiada głęboko zakorzeniony instynkt rozrastania się t. j. podporządkowywania swym wpływom coraz większych terenów, rozszerzania swej władzy i zwiększania list płacy. Typowym przykładem tego jest Urząd Kontroli Cen. Został on powołany do życia w kwietniu 1941 r. z personelem, składającym się z 84 osób. Po roku personel tego urzędu wzrósł do liczby 8.000 osób. Po dwu latach posiadał on 198 biur, rozrzuconych po całym kraju i zatrudniających 90.000 pracowników.

Pod koniec pierwszej wojny światowej posiadały Stany Zjednoczone 30 federalnych instytucji administracyjnych, włączając w to tymczasowe instytucje typu wojennego. Obecnie istnieje tam najmniej 205 federalnych departamentów, komisji, biur i samodzielnych urzędów, posiadających na terenie Stanów 1594 oddziały.

Tempo rozrastania się administracji amerykańskiej przekracza oczywiście potrzeby kraju i ekonomiczne zasoby narodu. Żadne społeczeństwo, chociażby najbogatsze, nie może sobie pozwolić na nieograniczony rozrost swych instytucji rządowych.

W roku 1942 amerykańscy fabrykańci kolonialni musieli być w codziennym niemal kontakcie z 21 federalnymi urzędami. Zracjonowanie kawy zmusiło kupców do utrzymywania takiegoż kontaktu z jedenastoma różnymi urzędami do spraw regulacji cen, kontyngentów, przewozów morskich, klasyfikacji towarów, opakowania, taryf przewozowych i inwentaryzacji. Obrót naftą wciąż jeszcze reguluje pięć instytucji federalnych, zaś zagadnienia pracy przechodzą przez siedemnaście. Wszystkie argumenty na rzecz zespolenia tych spraw w rękach dwóch instytucji zostały zignorowane.

Amerykanie nie dają się pocieszyć tak często dziś powtarzanym zdaniem, że obecny rozrost administracji publicznej zawdzięczać należy przede wszystkim wymaganiom wojny i że z chwilą nastania pokoju wszystko powróci do normy. Okres powojenny przyniesie cały szereg nowych problemów, związanych z polityką międzynarodową oraz z koniecznością uporządkowania i odbudowy zniszczonych wojną krajów.

Stany Zjednoczone mają żywo w pamięci fakt, że w latach 1933-1936 każdy nowy program rządowy nazywany był "nadzwyczajnym" i ustalany był rzekomo na okres walki z depresją ekonomiczną. Wniosek z tego był jasny i niejednokrotnie przez sfery rządowe oficjalnie podkreślany: koniec okresu wyjątkowego przynieść za sobą automatyczną likwidację powołanych na czas jego trwania instytucji oraz ich kosztownych programów. Rzeczywistość jednak wypadła nieco odmiennie. Stan wyjątkowy, spowodowany depresją ekonomiczną przeszedł w stan wojny, z której już obecnie wyłaniać się zaczyna cały szereg zupełnie wyjątkowych problemów związanych z nadchodzącym pokojem.

Franklin D. Roosevelt, będąc gubernatorem New Yorku, t. zn. na długo przed objęciem stanowiska szefa administracji federalnej, był zdecydowanym przeciwnikiem nadmiernego rozrostu agend rządowych. Uznając tego rodzaju tendencje za niezdrowe i niebezpieczne, odrzucił on kategorycznie projekt rozszerzenia uprawnień stanu, zmierzający do objęcia nimi pewnych czysto lokalnych zagadnień. "Cytuję ten fakt", wyraził się Roosevelt: "jako ilustrację istniejącej obecnie niebezpiecznej tendencji do podważania fundamentalnej zasady amerykańskiej demokracji, głoszącej o prawach ludności do zarządzania swymi lokalnymi sprawami. Tendencje te dążą do popierania koncentracji władzy u szczytu drabiny rządowej, co jest całkowicie obce naszemu ustrojowi, a pokrewne systemom rządów dyktatorskich, względnie centralnych komitetów w ustrojach komunistycznych. Napotykałiśmy już poprzednio na trudności, które udało się nam rozwiązać, zgodnie z podstawowymi zasadami reprezentatywnej demokracji.

Unikajmy łatwej drogi centralizacji władzy, obraczący ją bowiem, możemy się spostrzec pewnego dnia, że nasze wolności obywatelskie przestały istnieć".

Oby pamięć tych słów ożyła dzisiaj!

OGROMNIE NA CZASIE!!

Broszura pióra Ignacego MATUSZEWSKIEGO p. t.

"CZY ANGLIA GWARANTOWAŁA GRANICE POLSKI"

Jest do nabycia we wszystkich kioskach i księgarniach polskich oraz w Administracji "Co Słysać".

Tegoż autora "OSTRZEŻENIE Z PODZIEMI".

K O M U N I K A T

Osrodka Kształcenia Handlowego w Glasgowie.

Z uwagi na wypadki nieścisłej i mylnej interpretacji uprawnień, wynikających z ukończenia szkół średnich zawodowych, a w szczególności Państwowego Liceum Handlowego w Glasgowie podaję do wiadomości odnośne przepisy.

Świadectwo ukończenia szkoły zawodowej typu licealnego uprawnia:

1. Na podstawie art. 52 Ustawy z dnia 11 marca 1932 r. "O ustroju szkolnictwa" oraz okólnika Ministra W. R. i O. P. z dnia 3 marca 1937 r. do wstępu do szkoły wyższej pokrewnego rodzaju /studia handlowe i ekonomiczne/ bez egzaminu oraz do innych szkół wyższych po zdaniu odpowiednich egzaminów uzupełniających.

2. Na podstawie art. 51 Ustawy z dnia 23 maja 1924 r. "O powszechnym obowiązku wojskowym w brzmieniu nadanym jej obwieszczeniem Ministra Spraw Wojskowych z dnia 12 lipca 1933 r. w sprawie ogłoszenia jednolitego tekstu tej ustawy/ Dz. Ust. R. P. Nr. 60 poz. 455/- do odbycia skróconej służby wojskowej.

3. Na podstawie §2 Rozporządzenia Rady Ministrów z dnia 2 listopada 1929 r. "O zakładach naukowych i egzaminach szkolnych, wystarczających do osiągnięcia stanowiska urzędniczego w państwowej służbie cywilnej" /Dz. Ust. R. P. Nr 88 poz. 663/, w brzmieniu nadanym mu Rozporządzeniem Rady Ministrów z dnia 17 października 1932 r. w sprawie zmiany tego Rozporządzenia /Dz. Ust. R. P. Nr 92 poz. 791/- do zajmowania w państwowej służbie cywilnej stanowiska II kat..

Z przytoczonych przepisów wynika, że absolwenci szkół średnich zawodowych korzystają z uprawnień równorzędnych z uprawnieniami absolwentów szkół średnich ogólnokształcących.

Mgr. I. Zieliński

Dyrektor

Osrodka Kształcenia Handlowego.